



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

HENRYK
SIENKIEWICZ.

Nazwisko to odpowiada na pytanie: czym jest Powieść dla ludzi dzisiejszych i czym jest w powieści talent prawdziwy, potężny, wytwarzający trzy rzeczy najwyższe na ziemi: życie, prawdę i piękno? Najnowszy utwór Sienkiewicza, na tle historycznym napisany, zajął tak żywo wierny lud Jej Królewskiej Mości, że ukazywanie się jego współczesne w dwóch czasopismach, jednym warszawskim, drugim krakowskim, było dla kobiet warstw oświeconych, czytających, rzeczywistym wypadkiem. Potęga stylu odniosła tu zwycięstwo nad historycznością, z którą kobieta, istota nawet w idealizmie pozytywna, dniem dzisiejszym żyjąca, niechętna abstrakcyom i niezdolna do nich, nie lubi wchodzić w stosunki. Co więcej, w tym utworze, który Sienkiewiczowi sławę zjednął, najlubiejsza rzecz dla kobiety—w książkach miłość i maluc-



HENRYK SIENKIEWICZ.

kość jednostkowa, odgrywają w stosunku do całości rolę bardzo małą: a jednak kobieta—to imię, dotychczas tylko rozgłosne, uczyniła sławnem i zasłużenie sławnem. Pobudzeni przez kobiety, wzięli się do czytania i mężczyźni; utwór dostał się do rąk krytyki, nim go jeszcze uksiążkowno; powagi wielkie zaczęły go ważyć—i jedna z nich zmuszona była nazwać go epopeją, jakiej nie mieliśmy od *Pana Tadeusza*, inne, dawniej odporne, teraz już przyznają autorowi talent niewątpliwy, oczywisty, wielki.

O powieści Sienkiewicza mówiono wszędzie: i w dworku najskromniejszym i w najzjadliwiej warczącym warstacie literackim. Poeta dostąpił czegoś, co większem jest od sławy u współczesnych od laurów u krytyki; wydobyl z głębin publiczności dźwięki potężniejsze nad przemijające wrażenie, tak zwany *interes* i modę: on wyszukał, poruszył w niej serca i umysły, a dokonał tego nie tylko miłością, jękami i łzami, *jego i jej*, ale krwią, namietnościami wielkodziejowemi, obrazem walk i burz. Publiczność, zajmując

się tak szczerze jego utworem, zdała mimowoli examen z tego, do czego jest zdolną. Otóż umie ona błędnie zamilowaniem brzydoty i złego, ale umie także i potęgę piękna i prawdy ulegać. Potrzeba ją tylko silną, żelazną prawicą talentu ująć i poprowadzić.... Wielką miałby zasługę Sienkiewicz, gdyby zamilowanie do powieści historycznej za dni naszych od jego utworu zacząć się miało.

Nie możemy powiedzieć: gdzie i kiedy urodził się autor *Ogniem i mieczem*, bośmy nigdzie dat odpowiednich nie znaleźli, a sam Sienkiewicz znajduje się daleko od kraju, na rozkosznej Rivierze, dokąd lekarze kazali jechać cierpiącej jego żonie: i trudno byłoby i nieprzystojnie zgłaszać się do niego po wiadomości osobiste—choć ufamy, żeby ich nam nie odmówił.

Czytelniczkom „Bluszczu“ wystarczyć musi wiadomość, że najslawniejszy dziś z młodszych pokolenia powieściopisarzy polskich ma lat trzydzieści kilka—i że zatem niejedną jeszcze powieścią będzie mógł zająć je. ożywić i wzruszyć. Portret ukazuje mężczyznę przystojnego, o pięknym męzkim, niepospolitym profilu. Jak w stylu jego twardość siły łączy się z miękkością uczucia, tak i w obliczu obok energii widnieje ujmująca słodycz. Pamiętam go z czasów dawniejszych, z początków tego zawodu, w którym dziś tak zajaśniał: dla mnie, co lubiłem zawsze szukać ducha w ciałach, było to zjawisko prawie urocze. Lata zdjęły pierwszą barwę, ale nie zatarły charakteru. W początkach wieku męzkiego pozostał jeszcze, przy żywości i sile, wdzięk, który się często rozmyślnie pod osłonami chłodu, odtrącania lub ironii—zwłaszcza w towarzystwie kobiet—ukrywać lubiał.

Uczeń Szkoły Głównej, z ostatniego roku jej istnienia (1869), skończył wydział filozoficzny jako wybitna zdolność. Pierwsze próby jego literackie, jak wszystkich jego rówieśników, znajdują się w *Przeglądzie Tygodniowym*; praca już porządna zaczęła się od studyów literackich, umieszczanych w *Tygodniku Ilustrowanym*. Są tu rozprawy o *Mikotaju Sepie Szarzyńskim* i *Kasprze Miaskowskim*, dowodzące i znajomości przedmiotu i dobrego sądu.

Pierwszym utworem powieściowym Sienkiewicza było *Na marne*, na tle życia ludu, w *Wieńcu* z roku 1872. Jednocześnie ukazała się pierwsza część *Humoresk z Teki Worszytły*, których część druga, piętnująca wielki grzech narodowy: wydawanie ziemi obcom, wyszła w roku następnym. Był już wtedy Sienkiewicz współwłaścicielem i współredaktorem *Niwy*, pisma założonego przez „młodych“ a dziś, służącego za organ dla „starych“; tu помещał swe prace literacko-krytyczne. Prowadził jednocześnie felieton *Chwila bieżąca* w jednej z gazet i dał się poznać jako wybitny felietonista. Styl, który stanowi duszę jego powieści, jednał mu uznanie ludzi, nawet z przeciwnych obozów, nawet klasyków rozsądku, panujących w naszej epoce. „Bluszcz“ z r. 1875 wydrukował *Sielankę leśną*, której zarzucono zbytnią naiwność. W łamach *G. Polskiej* ukazała się pierwsza powiastka, która już wzbudziła zajęcie, jakiego nie wywarły poprzednie utwory Sienkiewicza z dziedziny literatury nadobnej. Była to *Hania*: piękności jej staraliśmy się tu wskazać przed czterema laty, w rozbiórce pierwszych dwóch tomów *Pism* powieściopisarza.

Niespokojny duch młodości w r. 1876 zagnał autora *Hani*.—w której odbiło się nieco tego ducha—za Atlantyk. Potrzebne mu było widać to oderwanie się od kraju, ta samotność, to pewne nawet dziwactwo życia, jakie pędził w Kalifornii, i na Far-Weście; bo utwory jego od tej epoki stwierdzają już zmęczenie talentu, ustalenie się myśli, stężenie form, w jakich wyobrażenia zjawiska świata odtwarzać miała. Listy z podróży do *Gazety Polskiej*, zwłaszcza z Rzymu i Paryża, mogły się podobać; *Szkice węgiem*, przedstawiające jedną z nędż społeczeństwa, powszechne już zjednały autorowi uznanie.

Po powrocie z Ameryki bawił Sienkiewicz dość długo w Galicji, głównie we Lwowie, a gdy wrócił do Warszawy zawitał, wyróżniano go tu już z tłumu piszących. Nie upajało go to wcale, okazywał nawet pewne lekceważenie. *Niwa*, której współredaktorem i współwłaścicielem być nie

przestał, помещała jego *Mieszaminy literacko-artystyczne*. W przeglądzie tym Sienkiewicz wydrękujeł wzruszające swoje opowiadanie nieszczerze dziecięcych a niedoli społecznej p. t. *Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela*. W *Niwie* również zjawily się oba dramata: *Czyja wina?* dyalog w 1-ym akcie, i *Na jedną kartę*, sztuka 5-aktowa, obie przedstawione na scenie warszawskiej. Pierwsza także próba powieści historycznej: *Niewola tatarska, urywki z kroniki szlacheckiej Aleksego Zdanoborskiego*, w *Niwie* się ukazała. Owocem podróży do Ameryki było opowiadanie tendencyjne *Za chlebem*, помещzone w *Dzien. Poznańskim*, były dalej *Przez stepy* i *Orsa*. Jedną z tych nowel czytał autor publicznie w Warszawie.

Tworząc rączo, ale nie zawiele, nie ze szkoda własną, wykazywał coraz więcej bogactwa talentu swego; samo zwrócenie się do dramatu, choć nie dało arcydzieł, okazało i tu potęgę główną autora: styl w nowym zastosowaniu i nowym powabie. Na nowy rok 1882 objął Sienkiewicz redakcją nowozałożonego pisma *Słowo* i dotychczas podpisuje się jako redaktor, ale pracy jego redaktorskiej nie widać—i dobrze się stało, bo dzięki temu tylko, mógł pójść w kierunku, jakiego się natarczywie dopominał talent: felietonami i artykułami dziennikarskimi—byłby tylko pióro swe zużył. Gdzie nie może być publicystyki, tam i wyższe zdolności w dziennikach zakopywać się nie powinny.

W *Słowie* i jednocześnie w *Czasie*, ukazała się powieść Sienkiewicza, która go odrazu na czoło młodszych powieściopisarzy-poetów wyniosła. Od przyjęcia, jakie znalazła, zaczęliśmy tu przypomnienie przelotne. Autor *Ogniem i mieczem* ziścił oczekiwania tych, którzy w talencie jego dostrzegali żywioł bohaterski a w stylu widzieli siłę kolorytu najpoważniejszym małowidłom sprostać zdolną. Krytyka, która mu zamykała z góry podwoje powieściopisarstwa historycznego—przed *Ogniem i mieczem* broń złożyć musi. Rozbiór tej powieści podamy bezzwłocznie.

Nowelle Sienkiewicza od r. 1880, kiedy wyszły pierwsze cztery tomy pism, znane są już w tłumaczeniach czeskich i rosyjskich; jedno z tych ostatnich podano nawet jako oryginał. Nadto Czesi przetłumaczyli i przedstawili dramat *Na jedną kartę*, a Löbenstein wydał w Bibliotece Reclama przekład niemiecki nowel.

Pisma Sienkiewicza, wydane w 5-ciu tomach w Warszawie, nie obejmują utworów dawniejszych, jak: *Humoreski*, *Na marne*, *Sielanka*. W skład ich również nie wchodzi jeszcze powieść najnowsza, największa i najznakomitsza ze wszystkich.

Stanisław Krzemiński.

Etyczne stanowisko kobiety

W POEZJI NASZEJ

Głęboko prawdziwym jest to określenie poezji przez poetę, że jest ona „arką przymierza“, w którą naród każdy składa „myśli swych przedzę, uczuć swoich kwiaty“. Wszystko to, co tkwi w piersi jego pragnieniem dobra i piękna — prawdy życia wyższej, co jest tam tęsknotą za celem, podniesionym nad zadowolenie potrzeb fizycznych, a co on przez wiekowe trudy i walki na rodzimy swój ideał, na rodzimą swą ideę wyrabiał, musi znajdować wcielenie swoje w poezji, bo ta, jako najwyższe spotęgowanie uczucia, skupia w sobie rozpięchłe pożądanja ogółu swego, „bierze je w pierś magnetycznie“, aby następnie wypowiedzieć mu je w słowie gorącego zapału. W tem-to znaczeniu nazywają wielkich poetów wieszczami, bo objawiają oni w stworzonych przez siebie pięknokształtach cel niby, postawiony na drodze, którą dążyć mają duchy i dlatego-to sam arcyzm, choćby najwyższy—wdzięk formy, która jest poezji szatą zewnętrzną, nie starczy nigdy, aby poeta został za wielkiego uznanym, aby rzeczywiście stał się względem narodu swego wiel-

kim—serca do siebie garnał, serca za sobą porywał. Trzeba mu „czuć za miliony“ i mieć zarazem podniosłe, mądre, szlachetne ku wielkim ideałom dążenie, a wtedy dopiero powstaje *Król Duch*, który społeczność swojej dla jej porywów górnych szlaki wyznacza i wiedzie je niemi. Z jej łona wprowadzie wziął on to wszystko: pojęcie obowiązku, pierwowzory cnoty, ofiary, piękności duchowej pokolenie za pokoleniem w skarbnicy ogólnej składało, a on sięgnął tylko po to bogactwo wspólne, aby ze znalezionej tam kruszcu, który w ogniu serca swego stopił, posągi swoje odlewał—i to jest owa „przedza myśli“, są to owe „uczucie kwiaty“ dla których narody taką gorącą czcią, taką gorącą miłością, w tłumach niemal bezwiedną, poetów swoich darzą. U nas większy jeszcze niż gdzieindziej, nacisk położyc-by na to potrzeba, bo nigdyśmy nie byli narodem przez całe masy swoje nazbyt w artyzmie rozkochanym... nigdy, i śmiało też powiedzieć można, że właśnie przedmiotu dla swoich uczuć—swojej idei społecznej, skryształizowanej w drogocenny dyament poezji, u poetów naszych szukamy i Kochamy ich, czcimy, wielbimy za to, że nam go dają.

Nie jest to dziełem przypadku, że trzech wielkich, najwyższych poetów naszych, mieliśmy zjawionych razem u początku wieku tego. Koniec ośmnastego stulecia był jakgdyby końcem starego życia, a początkiem nowego istnienia, u nas w wyższym jeszcze stopniu niż gdzieindziej. Zamały się pojęcia i wiary dawne, nowe prądy wstępowały w łono ludzkości, wśród nowych potrzeb i nowych położeń obracać się trzeba było. Podniosły się trzy wielkie głosy poezji: powstało trzech prawdziwych wieszczów, bo przez skierowanie uczucia własnego objawiających dla uczuć naszych drogi daleko w przyszłość wiodące. Było-to wyniesienie na ląd niezatopionej arki przymierza „między dawnymi a młodszymi laty“ i ten, od którego zapożyczamy to szlachetne określenie dziedziczności idei naszej, za pośrednictwem poezji przechowywanej i podawanej następującym po sobie pokoleniom — Mickiewicz, jest najstarszym pomiędzy nimi i stojącym na przodzie, może nie przez sam czas rozpoczętego działania. Najwspanialej-to dźwigająca się kolumna ducha, bo pomimo żaru uczuć i gorącego ich zapału, najspokojniejszy on „z pomiędzy trzech, przez prostotę swoją i samowiedzę duchową do największej harmonii w sobie przychodzący. Czy nie wpłynął na to klasycyzm, z którym się jeszcze spotykał i na którego wzorach młoda swą poetyczność urabiając, do panowania nad sobą i nad wyrazem uczucia swego przychodził? Dziś, gdy wraz z innymi i kobieta patrzy przed siebie, nieraz drogi swej niepewna i w wyborze jej zaważana, zwróćmy się w poszukiwaniu moralnego typu kobiety, wedle rodzimej idei naszej wyrobionego, do tej poezji, której najwyższego ideału jeszcze powszechność nasza nie odrzuca i bynajmniej na stronę nie usuwa, ale go wplata w najżywniejszą treść życia swego, a może nawet samą treścią życia tego czyni. Zobaczmy, czy zadowolni nas to, co tam znajdziemy, i czy kobieta dzisiejsza nie uczuje się zadowoloną ze stanowiska, które jej tam wyznaczonem było?

Myt Wandy, u zarania dziejów postawiony, już wykazuje, że kobieta nasza nie była nigdy niewolnicą, która w niższą sferę życia stracona, jego potrzebom służbę za cały swój obowiązek uznaje. Idea rodziny krępowiała w prawdzie silnie kobietę naszą, ale w sposób taki, jakiego prototypem było życie Rzymianki. Węlnę przedła, domu strzegła, ale była matką rodu i panią u domowego ogniska, na którym gorzała iskra ognia, wprowadzie inaczej świętego, niż w kontynie Zniczowej, ale świętego niemniej—była istotą wolną, wolnego człowieka małżonką, gospodynią, to jest: *panią*, tak jak on był *gospodynem*—*panem*. W rozwoju dziejów spotykamy już nie myt, ale w czynie historycznej rzeczywistości odzwierciedlaną postać taką: Jadwiga, to druga Wanda — Wanda Chrześcijanka, oddająca się na ofiarę idei wysokiego obowiązku dlatego, że była sercem i umysłem wysoko postawiona i poczuwająca się do powinności wysokich, co już potem ciągnie się nieprzerwanie przez łańcuchy pokoleń, i jeżeli wśród ogólnego upadku duchów i za-

ćmienia umysłów za czasów Saskich, za czasów Stanisławowskich, zepsucie, płochosc, niezdrowa galanteria francuzka rodzime cnoty podważa i obyczaj nasz kazi, wierzchem to tylko idzie a jeszcze i wtedy iskry do ostatka wygasić nie może, bo nawet taka Grabowska ma jednak w życiu swoim jeden górny moment istnienia i do nóg Stanisława Augusta pada, aby się z leniwego, słabego spodenia otrząsnąć i umiał stać się bohaterem. Był obok niego, po lewicy jego stojący szatan złego, we Francuzkę Luli wcielony, i ten wtedy zwyciężył tę nieszczęśliwą, która się do straconego anielstwa, do wspomnień swoich młodych wrócić chciała—chciała się uchwycić nici tradycyjnego typu kobiety naszej.

Już, niestety, zapóźno było dla niej. Rwie się tam, gdzie jest cienko, a nie owa miała znać cienkość jej jedwabnistego włosa i niewytrzymał ciężaru, który ku dołowi ciągnął. Pękło jej w rękę to włókienko cieniuchne i sen piękny odkupienia pierzchnął—upadła na samo dno zatracenia i niedoli okrutnej.

Nie wiem, czy i to do przypadków zaliczyć można, że najwyższy nasz poeta pierwsze twórczości swojej porywy, tak, jak następnie pierwsze już arcydzieło swoje, poświęca ideałowi wysoce pojętej kobiecości i muza jego bohaterkę, nie bohatera, śpiewa? Pierwszym drukowanym utworem Mickiewicza, jeszcze studenta uniwersytetu (1819 r.) była „Żywila“ powieść heroiczna, napisana prozą, naśladująca język XVI wieku i „Tygodniku Wileńskim“ z tym dodatkiem umieszczona, że jest to podanie litewskie, w starożytnych rękopismach znalezione. „Żywila“ w nastroju bohaterskiego uczucia przewyższa jeszcze Wandę, bo ta sama siebie na ofiarę oddaje: pobożnie, uroczyście, z myślą ku Bogom wzniesioną i w szatach ofiaricznych w nurty Wisły się ciska, a Żywila ukochanego i kochającego człowieka za niedotrzymanie obywatelskiego obowiązku, własnym jego mieczem zabija, jego miejsca zajmując walczy, zwycięża i w chwili tryumfu z boleści umiera. Miała to być córka litewskiego księcia Koryata, nad Nowogródkiem, Słonimem i Lidą około 1400 r. panującego, tak cudnej urody, że jej dano imię Dyany Litewskiej, Żywili, która przeciw pokochawszy w skrytości rycerza Poraya, za mąż wyjść nie chciała. Duma książęca ojca stała między nią a ukochanym człowiekiem, a gdy tenże ojciec po powrocie swoim z dalekiej jakiejś wyprawy, miłość nurtującą jej w sercu po łzach, smutku i bladej odżył i do więzienia nieszczęsną wtrącił: ona jednak imienia kochanka wydać nie chciała i na śmierć skazana, miała zostać straconą o święcie pierwszego dnia świąt Perkunowych. Lecz między wyrokiem a wykonaniem go wypadła wojna; już nieprzyjacieli stanął u bram Nowogródka, już popłoch przez siłę zastępów swych, między ludem litewskim szerzyć począł, gdy Poray, jako namiestnik księcia, uderza na nieprzyjaciela, zwycięża go i wtedy księcia o rękę córki jego prosi. Ale różnica rodowej godności nie mogła być przez jeden czyn bohaterskiej zasługi usuniętą, książę odmówił prośbie swego hetmana, a że z pierwszym świtaniem zorzy następował właśnie ów dzień święty, który miał przynieść śmierć Żywili, boeś i uniesienie dumy obrażonej popychają zwycięzkiego rycerza do zdrady. W nocy przekrada się do obozu nieprzyjaciół i sojusz z wrogiem zawarłszy, do miasta potajemnie go wpuszcza, zamek książęcy na czele wojsk obcych ubiega, srogię księcia do niewoli bierze i wtedy do ukochanej swej śpieszy, z pęt rozwiązuje i dzieje przejść smutnych opowiadając, chce ją wieść na wolność, chce ją rozkoszom szczęśliwego życia na jasnym promieniach słońca, rozkoszom wiernej i podzielanej miłości przywrócić. Ale ona, która z ciemnego lochu tylko-co wydobyta była, tylko-co oczuconą z omdlenia, i z pęku wilgotnej słomy przez ukochane ramiona w miłosnym uścisku podjęta, słysząc to, miecz jego od boku mu chwytą i karcąc za zbrodnię zdrady, przeciw Litwie popełnionej, zabija. Potem na czele podniesionego przez jej zapał ludu, z obcym najezdą walczy, zwycięża go, ojca z więzienia wyprowadza, i u nóg jego martwym trupem pada....

Pod Mendogową Górą ją pochowano, kopiec

wysoki nad mogiłą usypawszy, a potem imię jej starce powtarzały dzieciom, aby pamięć bohaterki pomiędzy ludem na wieczne czasy istniała—zakończył poeta, a Nehring w Studium swoim: „O kierunkach najnowszej literatury polskiej“, drukowanych w „Bibliotece Warszawskiej“, w roku 1882, widzi w „Żywili“ poprzedniczkę „Grażynę“ w dwa lata później napisanej, a raczej pierwszy zarys, pierwszą redakcją tego arcydzieła. Wielkie podobieństwo treści obu utworów za prawdopodobieństwem Nehringowego wniosku przemawia, ale tak wywiedziona geneza „Grażyny“ w wysokim stopniu podnosi moralne znaczenie jej treści. Bo jakkolwiek Nehring pisze dalej, powołując się na opowiadanie jednego z przyjaciół Mickiewicza, że poeta bawiąc na wsi (w Szworsach) przez tydzień Grażynę napisał, nie podyktowało mu jej jednak jedno uniesienie młodzieńczego zapału, i ta postać bohaterki, która w Żywili do uwalniającego ją kochanka woła:—„Zdrajco! tak-li małą była u ciebie ojczyzna, iż ją za trochę gładkości sprzedasz?“ ta postać dziewicy, która wszystko najdroższe na ołtarzu obywatelskiego obowiązku poświęca, była dojrzałym w jego umyśle ideałem szlachetnej, górną duchem żyjącej kobiecości.

(Dalszy ciąg nastąpi)

KTÓS

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

Zmuszona wynieść się z miejsca, gdzie na sobie i dziecko zwracała oczy, potem rozdzielić się z synem, któremu ojciec chciał dać jaknajstaranniejsze wychowanie, resztę życia spędziła, można powiedzieć, na niustannym płaczu i wyrzekaniu.

Ciągle wspomnieniami szczęścia i doznanego zawodu drażniona, dumna Horpyna stała się dla siebie i dla tych, z którymi żyła — nieznośną. Wpadała w gniew po kilka razy na dzień, szalała czasem z bólu, rzucała się na ziemię, jęcząc i zachodząc od płaczu.

Udawało się niekiedy Sylwanowi na chwilę ją ułagodzić i ukoić, ale, ani on, ani wiek, duszy tej zranionej uleczyć nie potrafiły. Miała w sobie coś bohaterki starożytnej tragedji, coś Medei, a nawet postać jej szlachetna i piękna, nawet język ludowy, którym się posługiwała, czyniły ją do nich podobną.

Niegdyś z wielkiem upodobaniem nucąca pieśni ludu, przesiąkła tęsknotą—Horpyna czasem swój ból i żal przyoblekała w formę jakiegoś śpiewu zawodzenia płaczliwego. Siedziała z rozpuszczonymi włosami na ławie, łamała ręce białe i płacząc, nuciła co jej serce natchnęło.

Osobliwie, gdy samą była, powtarzały się często te nenie dziwne, których stara Tatiana słuchała od progu płacząc, a gdy wybuchały zbytnią rozpaczą, przemocą niemal zamykała jej usta.

Wiele dziwa potrzebą było nieszczęśliwej przebaczyć. Czasem syna chciała mieć prostym parobkiem kozaczym i zetrzeć z niego wszelki ślad cywilizacji; niekiedy chciała usiłowała grosz gromadzić, aby go uczynić bogatszym jeszcze, możliwym i dać mu środki—jemu, chłopskiemu dziecku, panowania i mszczenia się nad panami.

Chociaż Sylwanowi ojciec prawne jego w świecie stanowisko, jako ubogiego szlacheckiego dziecięcia, z pomocą pieniędzy i podrobionych papierów zapewnił, choć Horpiński mógł ukryć rzeczywiste swe położenie i stan—niemniej w jego duszy, pod wpływem matki wyrobiła się jakaś niechęć do szczęśliwej wysożonych, do tych, którzy nic do ukrywania nie mieli.

Umysł jego ciągnęła ku sobie ta cywilizacja, która go czyniła człowiekiem świadomym ludzi,

świata, życia — serce wzdrygało się przeciwko społeczeństwu cywilizowanemu rozbratanemu z ludem; nauką i rozumem należał do wybranych, uczuciem do wydziedziczonych.

Rozdzierało go to na dwie istoty w wiecznej z sobą walce będące.

Smutny, zamknięty w sobie, skazany na wieczne osamotnienie lub posługiwanie się kłamstwem, przeciwko któremu oburzała się dusza jego, Sylwan włócił ciężar żywota—znękanym nim i jak matka zbolęła zrozpaczonego.

Na widok istot szczęśliwych, które nic do tajemnia nie miały, a mogły iść z podniesionym czołem jasnym, budziła się w nim czasami jakaś nieopieczniwa, szatańska chęć zemsty, i gotów był nieledwie szkodzić szczęśliwym, aby im nie zazdrościć.

Lat dochodził już niemal czterdziestu Horpiński, chociaż nie było tego znać po nim. W tem znaczeniu, w jakim się to pospolicie bierze, nigdy nie używał młodości—żył skromnie, upajając się coraz nowymi jakimś studjami, pracą, sztucznymi interesami, jakie sam tworzyć musiał, aby cel mieć przed sobą. Wszystkie siły młodzieńcze nosił zaoszczędzone w piersi, zużytkować ich nie mogąc.

W tych kołach, wśród których się obracał, młody, dobrze wychowany, majątny, odznaczający się wykształceniem i nauką—ciągle był drażnionym przez kobiety, starające mu się podobać, bo one go sobie podobały. Często bardzo serce mu uderzyło do której z nich; ale natychmiast musiał uchodzić, bronić się — aby nie uleść pokusie szczęścia niemożliwego.

Powiedział sobie w chwilach takich zatrutych, że powinien iść za wolą matki, raz nazawsze wziąć siermięgę, zerwać z tym światem, wyrzec się upodobań i nawyknień człowieka cywilizowanego... ale czuł, że ofiara taka była nad jego siły.

Po upływie pewnego czasu, na Rusinowym Dworze spędzonego, porywała go niewysłowiona tęsknota, ażeby choć głos życia posłyszeć. Sama też matka, niestała w swych postanowieniach, raz chcąc go widzieć chłopem, to znów panem, wyganiała go od siebie, aby stosunków nie zrywał.

Rusinowy Dwór z przyległymi gruntami, na których żadnych ciężarów nie było, — szacowano naówczas na jakie stotysięcy złotych. Kawał lasu dodawał mu wartości.

Oprócz tego Sylwan miał pierwotnie przez ojca zapisanych czterokroć stotysięcy, które się przy życiu skromnem zwiększały w ciągu lat. Nie będąc bogatym, był na pojedynczego człowieka zamownym bardzo. Horpyna, która chciwie skąpiła i składała grosz każdy oszczędzony, oprócz tego uzbierała kapitał dosyć znaczny.

Życie tu nie różniło się wcale od zwyczajnego wieśniaczego, chyba jedną obfitością tego, czem się utrzymywało. Horpyna, parobcy i Sylwan żywili się jednakowo, a stara, choć się pokaznie ubierała lubiła—mimo, że jej prócz swoich nikt nie widywał — miała z dawnych czasów tyle strojów i klejnotów, że jej one na całe życie starczyły. Syn w początku chciał, aby jakiegokolwiek zrobiła sobie znajomości i miała kogoś dla rozrywki; ale ona, zdziwiała i zbolęła, oparła się temu.

Napróżno z sąsiedztwa ciekawi usiłowali się do niej weisnąć, zobaczyć, zapoznać: odpychała ich dumnie i gniewnie.

Całą jej rozrywką były nucone pieśni tęskne—rozmowa z Tatianą, z synem, a czasem nawet z parobkami, dla których była łagodną z jednych względów, z drugich—surową panią.

Ludzie próci obawiali się jej, niby jakiej istoty wyższej, obdarzonej przez boeś jasnowidzeniem i siłą ducha, która rozporządza dola nienawistnych. Gniew jej wprowadził Harasyma i Prochora w niewypowiedzianą obawę. Byli pewni, że jej przekleństwo mogło być śmiertelnym.

Harasym, Prochor, Tatiana — znali historią nieszczęśliwej, i jej mściwym łzom przypisywali to, że ojciec Sylwana, po rozwiedzeniu go z Horpiną, ożeniony staraniem rodziny, ledwie miał czas życia zakosztować. Bóg dał mu dwóch synów, szczęście, bogactwo — nadzieje wielkie—aby na gle, nielitościwie ukarać go śmiercią gwałtowną.

Zgon był straszny i tragiczny.

Gdy Horpyna dowiedziała się o nim, stała długo osłupiała, nim się jej łzy puściły, i krzyknęła:

— Bóg mnie wysłuchał i pokarał! Ta co mi go odebrała będzie wdową, a dzieci sierotami, jak moje...

Nazajutrz rano, po przybyciu do Rusinowego Dworu Sylwan rozpoczął życie, jakie tu zwykle prowadził. Nie brał nigdy z sobą, ani książek, ani nic, coby drugą połowę—życie miejskie przypominać mogło. Wiedział, że matka tego nie lubi. Przez czas pobytu przy niej, dzielił obyczaj jej i parobków—szedł na pole i pracował z nimi, stawał się chłopem dobrowolnie.

Matka nie przeciwko temu nie miała. Ona też sama, gdy ból się w piersi usmierzył—często pomagała Tatianie,—nie tracąc przy zajęciach najprostszych tej postawy królewskiej i dumy, jaka ją odznaczała. Tatiana, widząc, że podobne krzątanie się koło gospodarstwa przyczyniało się do uspokojenia jej, często poddawała coś do roboty.

Jednego tylko szcścia ręczników i koszul, obyczajem dawnym, nie mogła już w rękę wziąć Horpyna, nadto jej przypominało lata młodości, dzieciństwa i błogich marzeń.

Taksamo widok strojów, koralów, bielizny, chustek nagromadzonych oddawna, pochodzących z daru człowieka, którego teraz nienawidziła—był jej nieznośnym. Gdy przychodziła wiosna i potrzeba było to powymyślać, rozwiesić, przewietrzyć, Tatiana kryć się musiała.

Dodnia Sylwan był już z parobkami w polu, ale gdy wychodził o świcie, matkę już zastał napół ubraną. Na południe powrócił do niej, bo pamiętał, że każde jego przybycie rozdrażniało ją—i chciał rozzerwać a pocieszyć.

Często, i teraz właśnie, przybycie, zamiast ulgę jej przynieść, poruszało ją tylko i niepokoiło. Chciała wiedzieć z najmniejszych szczegółami: jak Sylwan czas swój spędzał w mieście, z kim żył, czy go umiano ocenić? a najbardziej opytowała się o kobiety.

Obawa, aby się syn nie rozmiłował, zazdrość, aby serca jego nie odebrano—nie dawały starej spoczynku. Sylwan uspakajał ją tem tylko, że towarzystwo malował jej szydersko i z tej strony, z której najmniej się powabnym wydawało.

Na ten raz Horpyna, w marzeniach swych o przyszłości syna, znowu wpadła na temat zemsty—i chciała dla niego bogactw, wywyższenia, aby on, chłop—panował nad temi—przeniewiercami.

Nazwisko to u niej nosili wszyscy, co równi byli zniemawidzonemu ojcu Sylwana.

Przy południku sama zawiązała rozmowę.

— Mnie na świecie niedługo—poczęła mówić, napozór obojętnie.—Ja to wiem! Wasi mądry ludzie, co się wszystkiego uczą, a nic nie umieją—tracą ten dar Boży przewidywania zgonu. Zwierz, gdy koniec swój czuje, uchodzi i kryje się—my, chlapi, jak zwierz, czujemy zgon nadchodzący. I ja to wiem, że nie pożyję. Naówczas tobie już tylko panem trzeba być. Precz z chłopską siermięgą—już ci się ona nie zdała. Dzieńmi będziesz miał dosyć—możesz ich deptać po karkach i zapłacić za mnie.

Rusinowy Dwór—ciągnęła dalej—tobie on na nic... to ziemia nie nasza. Tu nawet tych traw i kwiatów niema, co w stepie, tu nic nie buja, jak u nas, a lasy jakby murem otaczają więziennym. Sprzedać go Lachom napowrót.

— Matko—przerwał Sylwan—dla mnie to przecie pamiętka.

— A na co masz krwawe moje łzy pamiętać?—odparła stara.—Pamiętaj lepiej, żeś ty mnie mścić powinien. Niech-by dziewczę jakie tak zapłakało po tobie, jak ja po nim: w ręce—bym klasnęła.

Horpiński spuścił oczy. Stara się podniosła z ławy i chodząc poczęła po izbie. Na jednej ze ścian, pomiędzy oknami, zawieszona było małe zwierciadełko owalne. Horpyna miała zwyczaj w niem przypatrywać się sobie. I teraz stanęła przed niem w tragicznej pozie.

— Za co ty się całe życie masz męczyć?—dodała.—Gdy mnie nie stanie, naówczas wolny jesteś. Zeń się—szczęśliwy nie będziesz... ale i Laszka z tobą nie będzie szczęśliwą.

Podobny jesteś do niego, a mojej krwi w tobie

plynie kropelka, musisz mścić się za matkę! Póty twojego chłopstwa, póki życia mojego.

— Nie—rzekł Sylwan—mylisz się, matuniu; może właśnie, gdyby mnie Bóg osierocił, wdziabym raz nazawsze siermięgę, jak załobę po tobie; ale Bóg niech mnie od tego broni. Żyj!...

Horpyna się rozśmiała, stojąc ciągle przed zwierciadłem.

— Myślisz, że mnie rozkoszą życie! Chodzę z niem, jak z kamieniem uwiązany do szyi. Śmierci się nie boję.

Ruszyła ramionami i zamilkła. Horpiński po krótkim poczęstunku umyślnie zagał o tegorocznym urodzaju. Wzgardliwie popatrzała na niego matka.

— Ta ziemia i rodzić nie umie... Co tu za zboże! Siedzi rzadkie przy ziemi, a kłosa jak węzełki... U nas trawa bujniejsza.

Wszystko myśli jej do przeszłości zwracało. Przerwana tak rozmowa przeciągnęła się aż ku wieczorowi. Sylwan poszedł do konia, chcąc ku lasowi wyruszyć. Matka siadła dumać dalej.

Powrócił, gdy już zmierzchało, i zastał ją w tem samym miejscu, gdzie porzucił, z oczyma w podłogę wlepionymi.

Jakaś czulsza myśl pobudziła ją do rzucenia mu się na szyję. Zaczęła go ścisnąć i całować.

— Ty moja pociecha jedyna—szepnęła—ale po co do niego jesteś podobny... Czasem patrzeć na ciebie nie mogę, bo radabym kochać, a nienawisć ze mnie bucha. O! dolo ty moja, o dolo!

Oczy zakryła i powróciła się na ławę. Sylwan, jak zwykle w takich razach, nie odpowiedział nic, dał się jej uspokoić.

Przy wieczery powróciła matka do rannych marzeń. Poczęła liczyć bogactwa swoje.

— A nie tracisz—ty w tem mieścisku przekletem?—spytała—może już urwałes co z twego dziedzictwa... Mów mi prawdę. Ja nie chcę, byś był ubogim, bo cię podepczą; a ty ich powinienes gniesić. To wasze życie kosztuje drogo.

— Nie straciłem nic—odparł Horpiński—coś mi nawet przybyło. Nie kłopot ty się o mnie!

— Muszę—przerwała gwałtownie stara.—Jeszcze-by tego brakło, żebyś ty z nędzą walczyć musiał... Ale nie—tego Bóg nie dopuści.

Potrząsnęła głową.

— Tak, tak—Rusinowy Dwór sprze dać potrzeba. Mówią, że i za niego piękny grosz wziąć będzie można—a u mnie w skrzyni też leży dosyć... Chcesz?... weź?—mnie to na nic.

— Ja też nie potrzebuję—oparł się Sylwan—mam dosyć.

— Tracić tobie się nie godzi—ciągnęła dalej—nie, ale panem musisz się im wydawać! Na to nie ma co żałować. Nieraz myślę sobie—śnie ja sobie, jak ty chodzisz między nimi z podniesioną głową, a oni ci się kłaniają muszą.

Oni pieniądzom tylko się kłaniają... dlatego tobie ich potrzeba.

Wstała i zbliżyła się do syna.

— Chodź—rzekła, ciągnąc ku komorze.

Sylwan wszystkim jej fantazjom był zawsze posłuszny. Wprost szła ku niezamkniętej skrzyni, otworzyła ją, schyliła się i milcząc, zaczęła wydobywać worki i zwiłki.

— Licz... ja nie wiem, ile tu jest,—ktoby tyle pieniędzy policzył!!

Chciał się syn oprzeć.

— Licz—powiadam ci—chcę wiedzieć, co tobie zostawię.

— Zbierzesz więcej—rzekł powoli Sylwan.

Zaprzeczyła poruszeniem głowy i niecierpliwie uderzyła nogą.

Z niechęcią widoczną, zmuszony Horpiński narzód worki obliczył, potem papiery. Stara nad nim stała, oparłszy się na rękę, patrząc na pieniądze, a widząc pewnie co innego oczyma zdrętwiałemi.

— Złoto... to jeszcze z dawnych czasów—szepnęła.—Zakryj... ja na nie patrzeć nie mogę.

Sylwan skończył nareszcie.

— Wiele wszystkiego?—zapytała.

Cały ten majątek Horpyny, zbierany tak skrzętnie, wynosił daleko więcej, niż ona i Sylwan mógł się spodziewać. Posłyszawszy, uśmiechnęła się i zadumała.

— Mówią ludzie—ja tego nie wiem—rzekła—

że grosz posiawszy jak ziarno... coś rodzi. Może-by i ten zasiać trzeba, bo on tu marnie leży, a ja chcę dla ciebie wiele... bardzo wiele.

— Dajcie pokój, matko—odparł Sylwan—o mnie i o groszu nie myślcie, nie żałujcie sobie. Ja też wiele nie potrzebuję.

— Bogatym musisz być, bogatym—przerwała—bo podepczą...

Sylwan, już nie mówiąc, rzucił worki i papiery do skrzyni i zamknął ją. Horpyna stała jeszcze dumając, ale z oczów jego wyczytawszy, że mu pieniędzy nie potrafi narzucić, — wyszła powoli z alkierza.

Tak się pierwszy dzień zakończył.

Nazajutrz chodziła struta, milcząca, bledsza, niż zwykle, ścisnęła syna i płakała. Poprawiła mu i przeczesała włosy, snadź, aby jej jaknajmniej ojca przypominał—popatrzyła i odwróciła się.

Wieczorem przyszło do sporu z Tatianą, która jej wyrzut czyniła, że synowi życie truje, że choć dla niego wesołą być powinna. Stara sługa obchodziła się z nią, jak z dzieckiem własnym, nie szczędząc nawet połań — nie dobierając wyrazów. Tatiana też kochała, ją jak dziecko, a bolała nad tem, że natury tej krnąbrnej, ani złagodzić, ani przemienić nie mogła.

W kącie spotkawszy się z Sylwanem, pocichu dawała mu nauki, jak on się miał z matką obchodzić. Był mężczyzną—a choć ją powinien był szanować, Tatiana namawiała, aby surowo jej tych płaczów i lamentów zabraniał. Miał do tego prawo.

— Ona duszę wypłacze!—mówiła Tatiana—a co jej po tych łzach?

Co minęło, nie powróci!

Modlić się nie chce i nie umie... Stanie przed obrazem, przeżegna się, pokłoni, zamruczy coś i łzy pocieką. Patrzcie, już na ławę poszła, oczy sobie zakryła i szlocha...

— A! a!—gadatliwa mówiła starucha—co ja z nią mam utrapienia!... co męki. Mało jej dnia na łzy, a to i po nocy się budzi, siedzi a sama mówi do siebie.

Kto wie, co ona tam widzi, ale tak jakby przed sobą kogo miała i z nim rozmawiała... to łagodnie i pieszczono, to gniewnie i ostro... mruczy i wykrzykuje... a coby miała ta choroba ustawać—co raz gorzej... Złe! złe—mówi ciągle o śmierci. Chodziła sobie szukać mogiły... Czasem, jakby rozumu nie stało.

— Lecz jakąż rada na to?—zapytał Sylwan—cóż ja mogę?

— El! panoczku—zaszeptowała Tatiana—ona-by to była—rada—ale co po niej, kiedy jej nie posłuchacie. Ja wiem... Jejby tam, hen, na Ukrainę! Jeden dzień-by płacząc na ziemi leżała, a potem wstałaby zdrową. Jakie tam powietrze—ono-by zgoiło, co na obczyźnie się rani. Tu ani oku polecieć, ani piersi technąć—ani sercu się do czego uśmiechnąć... Lasy a lasy—a piaski i piaski i nie widać tak daleko, jak u nas w stepie!!

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż d. 10 Marca 1884 r.

Last life nowa książka a królowej angielskiej. — Wspomnienia z życia wdowiego w Szkocji. — Przypoda z reporterem. — Czy to ogłoszenie jest na czasie? — *Universytety niemieckie*, przez Ojca Didot'a, Dominikanina. — Burza, jaką wywołała ta książka w prasie francuskiej. — Przyczyny. — Busch i jego świeżo wydane dwa tom: *Unser Kanzler*. — Jaką należy przywiązywać wartość do tych publikacji Buscha? — *La Société de Berlin*, przez hrabiego Vasili. — Co się znajduje w tej książce i dlaczego zakazana została w Niemczech? — *Pamiętniki pośmiertne Heinego*. *Gartenlaube* i rodzina poety. — Skandal artystyczny. — Przygody portretu Meissouniera.

(Dokończenie)

Ponieważ jest mnichem—nie mogło to się stać zatem, jak tylko za upoważnieniem władzy duchownej i przełożonych—a nawet i samego Gene-

rała Zakonu. Ale jakże to upoważnienie mogło być dane człowiekowi lat 40, kapłanowi, byłemu przeorowi—który, aby w tym wieku i w tej sytuacji mógł słuchać wykładów naukowych, (które już przeszedł dawniej we Francji) musiał złożyć swój habit, wziąć na się strój burszowski... a to na ten koniec, aby on kapłan, mnich katolicki, mógł słuchać wykładów protestanckich conajmniej—których główny kierownik—jak wiemy—inną ma wcale drogę na celu, niż podróż do Kanossy!...

Czego się tam pragnął i mógł nauczyć katolicki kapłan?—pokazuje nowa książka — która od początku do końca jest uwielbieniem,—jakieśmy mówili—mądrości, charakteru i patryotyzmu niemieckiego.

Że nauka jest poważną i poważaną w Niemczech; że jej wykłady często są znakomite; że wiele tam się można i gruntownie nauczyć—temu nikt nie przeczy; ale, aby uniwersytety niemieckie były macierzą i wzorem cnót obywatelskich i patryotyzmu — o tem nikt jeszcze nie słyszał, chyba taki statysta, jak Maurycy Busch, albo jaki przyboczny aplikant z kancelaryi księcia Kanclerza. Stawiać więc to za przykład dla Francji, i w tym celu pisać i wydawać książkę—jest to chcieć dobrowolnie i rozmyślnie znieważać i polizkować opinią publiczną.

Książka jest gruba, przeszło 400 stronnic, i nudna w dodatku. Ciągłe i niezmiernie pochwały, choćby nawet i czegoś lepszego niż Niemcy, znużają i zmęczają najcierpliwszego nawet. A każdy, kto ją, jak ja, od deski do deski przeczytał—robił to—bądźcie pewni—jedynie dla tego, aby się domacać pulsu autora.

Zaczynając od wstępu, od doskonałości formy, co do zapisania się w matrykularzu uniwersyteckim — aż do zabaw i obchodów burszowskich—wszystko to, według Ojca Didona — doskonałe i świetne.

„Co to za pełnia! — powiada autor — Co to za bogaty nawał światłości! I jakież to kraj świata, Hiszpania, Włochy, Anglia, Ameryka, (tu się zająknął i nie dodał Francya), mógłby przedstawić coś podobnego?“

Savonarola spać mu nie daje i budzi go ze snu tryumf Jacentego! *Eheu miserando!* na tem się skończy, jeżeli Wola Boska ślepego człowieka nie zatrzyma nad brzegiem przepaści. Mówię wam o tej książce, nie dla tego, abyście ją czytali—nie ciekawa, ale dla tego, że i to jest znak czasów naszych—że ludzie się rwą do piekła—i że z tego względu można powiedzieć o książce Ojca Didona: *cui bono!*

Wspomniałem tylko-co nazwisko Buscha. Znamy to wam dobrze panegirysta księcia kanclerza niemieckiego. Tu niema co pytać, bo wiadomo: *cui prodest*—no-wo wydana książka, tego publicysty. Ile razy żelazny człowiek zamęci światem, albo ma zamęcić—tyle razy wślad za tem występuje sławny Busch i tak zaczyna: „Szanowni panowie! jeżeli kto z was pragnie widzieć coś znakomitego! wielkiego! nadzwyczajnego! i niesłychanego!—niechaj się przypatrzy temu wiernemu wizerunkowi męża, który... i t. d. ja jeden mogę go wam pokazać, bo ja jeden przypuszczony jestem do jego najgłębszych tajemnic“!...

Słyszeliśmy już nieraz to wezwanie, a po niem czytaliśmy te anekdoty, indyskrecje, odsłonięte zamiary, rozjaśnione projekta i chęci—a kończyło się to zawsze, że w tych odkryciach były tylko stare gazety.

Taki w ogłoszonych przez p. Buscha książkach wszystko stopniowo maleje i znika—a pozostaje w końcu, kanclerz i autor! Dawniej — były to stołowe, kuchenne i higieniczne exercycje, dziś jest to tażsama piosnka, tylko na inną nutę—nuta jest tu polityczna; idziemy więc w górę—i ten nowy pomnik wzniesiony, biegłymi — nie — ale wprawnie, rękami Buscha—jest to pomnik polityka-statysty z obliczem takim, jakie Busch w nim dostrzegł.

Unser Kanzler—taki jest tytuł nowego, dwu tomowego dzieła Buscha, które wyszło w Lipsku. Autor pokazuje nam raz jeszcze tę komętę w całym blasku i z całym olbrzymim ogonem swoich politycznych — jakby to nazwać?... konsekwencji, powiedzmy grzecznie. Nie mogąc Busch smagać

po koniach, smaga po ogłoblach i zostawiając na stronie koronowane głowy, bierze się do wszystkich polityków świata i pokazuje nam, jak w Kalfie Bagdadzkim:

Naprzód rano, kiedy wstanie,
Pali tytoń pan łaskawy;
Potem zjada na śniadanie ...

I tu występują z kolei: Arnim, Prokesch, książę Gorczakow, Juliusz Favre, Thiers, i t. d., każdy z kolei, rozmiadżony, spłaszczony, znika ze sceny, bo taka była wola tego, który jest cudownym i zachwycającym uosobieniem najrzadszej finezy, zręczności...

Niema w tem nic nowego jednakże—dla ludzi oswojonych z przebiegiem wypadków współczesnych—ale dla gawiedzi, dla tych, co żyją plotką i skandalem, to prawdziwy ryszunek wojenny. Książka więc, rozchwyтана, sprzedaje się wybornie, i to jest grunt tendencji Maurycego. Ale w tym nawale starzyzny, znalazł się artykuł, jakby z namysłu wcisnięty—artykuł dotyczący się dyplomatycznych układów Niemiec i Austrii, w przededniu wojny r. 1866, kiedy kanclerz, według Buscha, wypchnął Asutryą z konfederacji germańskiej, *zmuszony* do tego chwiejnością i niepewnością jej postępowania i jej zamiarów.

W ostatnich nareszcie chwilach, i na kilka dni przed wybuchem wojny, postanowiono posłać jeszcze, tak utrzymuje Maurycy, do Wiednia p. Von Gablentz, brata generała austriackiego—z propozycją traktatu i pokoju, którego ostatnim wynikiem miał być wspólny napad na Francję, a celem—zabór Alzacyi ze Strasburgiem!!

Ustęp ten, a nade wszystko szczegóły owych układów, zerwanych w końcu — dlaczego i jak? narobiły hałasu w Wiedniu... Ale że tu, jak zwykle u Buscha, prawdziwe szczegóły pomieszane są z fałszem i zmyśleniem, nie docierano więc do dna, uważając urzędownie odkrycie za wybryk publicystyczny. Jeżeli wszakże projekt zaboru Alzacyi istniał już w r. 1866, w cóż się obraca owo tak głośne oświadczenie, że wojna roku 1870 wywołana została jedynie przez niezręczność Benedettiego! Widocznie, że Busch wiele rzeczy nie wyssał z palca; ale trzeba-by dużo czasu, żeby z tego umyślnie spletanego wątku wywinać czystą prawdę.

Tom drugi ma tytuł: *Bismarck und die Franzosen*. Jest to kompilacja dokumentów i faktów znanych całemu światu. Zredagowanie zebranych i otrzymanych materyałów jest widocznie robotą samego Maurycego. Zaprzętniony zręcznością kanclerza, która go czaruje i zachwyca, Busch ubóstwia w swoim bohaterze przedewszystkiem wielkiego kuglarza! Jest to dla tego niemiaska, żyjąca inkarnacja jakiegoś Pinettiego albo Bosco!—i pęka ze śmiechu, kiedy figel dobrze się uda. Ale gdy by tam nie było nic więcej, nad figle—to, mój kochany Maurycy, jednemu tylko należałoby się dziwić: głupocie ludzi, którzy się dali złapać na takie plewy.

Odwrotną stroną tego medalu wybitego na cześć kanclerza, jest zakazana dziś w Niemczech książka pod tytułem: „*La société de Berlin* (Towarzystwo Berlińskie) pour le comte Vasili“. Ten „Graf Wasili“, jest to, naturalnie, zmyślona firma, dosyć trafna na owe czasy, kiedy się w Rosyji srożono na Niemców.

Ukazała się ta praca pierwotnie w *Revue nouvelle* pani Adamowej—starano się wówczas w interesie przeglądu narobić ile można wielkiego hałasu, aby zaostrzyć ciekawość publiczną. Miały to być ogromne niedyskrecje, ważne tajemnice dotyczące się najznakomitszych osób w Berlinie. Wymieniano i podsuwano rozmaite imiona autorów tego pamfletu. Były tam osobistości kobiece, dyplomaci, cudzoziemcy wojskowi; ale w gruncie wszystko to są bałamuctwa: książkę tę, nie mającą ani satyrycznej, ani pisarskiej wartości, pisał widocznie Francuz—widać to ze wszystkiego, a jego nazwisko nie doda jej wartości.

Autor, a raczej, oile mi wiadomo, autorowie tej zbieraniny—nie mają nawet zasługi, ani nowości, ani pierwszego pomysłu. Jest to wyrób tej samej fabryki, co elukubracya Busch'a, Tissot'a i spółki. Zakrawa to na paszkwil, ale widocznie

lękano się zapuścić wędę aż do dna: więc poobcinano, zmodyfikowano w taki soosób, aby zadrasnąć, ale—nie ranić.

Są tu imiona i nazwiska najpoważniejszych, najznakomitszych ludzi, najwybitniejszych osobistości—kobiety najszersze zajmują miejsce. Zaczawszy od rodziny cesarza Wilhelma i kanclerza aż do mieszczaństwa, jest niby cały ciąg portretów; ale wszystko to kopie widocznie, a nie portrety malowane z natury.

Całe wyższe towarzystwo—bo o te tu chodzi jedynie—przesuwa się w tej czarnoksiężkiej latarni... Zasyłane i pobierane ploteczki i plotki, nie mają zaprawdę żadnej wartości. To zaś, co się tu dotyczy osób, urzędowych wiadomo już dawno każdemu z dzienników i rozmaitych cudzoziemskich i niemieckich publikacyi; szczegóły zaś odnoszące się do osób prywatnych — dobrze są znane oddawna w Berlinie. Autor więc nie zadał sobie wiele mozołu; dosyć mu było, czas jakiś zabawić w Berlinie, a bawił tam podobno więcej niż dwa lata!

Dosyć gorąca obrona socjalizmu, w dwóch, czy trzech miejscach książki, zdradza pochodzenie a nawet i osobistość dla tych, co znają autora—ale, jak mówiłem, nie ma to wielkiej wartości. Zabrzoniona została ta książka, według mnie, słusznie bardzo. Nie godzi się bowiem, aby pierwszy lepszy pozwalał sobie bez ceremonii wyciągać na scenę prywatne osoby i wypisywać ich nazwiska, rzucając je na pastwę ciekawości publicznej. Nie jest to racya, że ta, lub owa jest księżna albo hrabina; że ten lub ów, jest baron lub margrabia—aby poczynać z nim sobie, jak z najlichszym stworzeniem. Zakaz więc sprzedaży tej książki, miał swoją rację.

Każdy tu stara się, jak może, łapać publiczność na przynęty wszelkiego rodzaju. W świecie książkowym przynęta tytułu najważniejszą odgrywa rolę. Musieliście już słyszeć o tych sporach, jakie wybuchły we wszystkich dziennikach, z powodu mających wyjść na świat: *Pamiętników Henryka Heine'go*. Przyjaciele, rodzina zmarłego, literaci z profesyi, dyplomaci nawet—zabierali głos w tej mierze. Rodzina naprzód zaprzeczała, aby te pamiętniki istniały, oskarżała o fałsz, o zmyślenie; ale doktor Edward Engel i redakcyja przeglądu *Gartenlaube* dowiodły, przeciwnie, autentyczność i sprawiedliwość tej pośmiertnej spuścizny. Nakoniec po długich sporach, d. 17 Lutego, ukazał się w *Gartenlaube* pierwszy rozdział *Pamiętników Heine'go*.

Rozczarowanie, jak dotąd,—a ma się już ta publikacya ku końcowi — rozczarowanie jest niezmiernie; kto mówi o Henryku Heinem, przypomina nam zaraz jednego z najrozumniejszych, najdowiecniejszych i najuszczypliwych pisarzy niemieckich. Przy niesłychanym blasku stylu, niesłychany blask wyobraźni, a razem światło czystego, jasnego rozumu! Otóż w tych pamiętnikach ani śladu tego, czyja ręka, z taką siłą i finezyą umiała poruszać satyryczną grzechotkę, nad długimi uszami tyłu a tyłu współczesnych mu, strasznie poważnych, osobistości — i którego przenikliwy geniusz umiał dotykać równie wytwornie najczulszych strun uczucia i serca, jak i najuszczypliwszej ironii.

Niestety! potrzeba się zrezygnować i powiedzieć sobie—że te spekulacje księgarskie rzadko kiedy oddają prawdziwą usługę, tak autorom, jak publiczności—wyprowadzając na światło dzienne to, co sami autorowie przeznaczali na wieczne milczenie. Jest to niby chęć oddania czci zmarłemu — ale zmarły autor nie dba o te kadzidla; a żyjąca publiczność szuka, czego znaleźć nie może—i książkę odrzuca.

Jeżeli z literatury przejdziemy teraz do życia społecznego w Paryżu, ubiegły Luty mógłby się nazwać występny, a nie przestępnym; tyle tu było wrzawy i skandalu, ale *much ado about nothing!* Rozpoczęło się to naprzód w dziedzinie artystycznej.

Jest tu w Paryżu niezmiernie bogaty Amerykanin, nazwiskiem Mackay. Rozpoczął on bajeczną swoją fortunę, jak prosty wyrobnik w kopalniach Kalifornii — a skończył jako właściciel jednej z najbogatszych kopalni nafty, która mu przynosi—*si fabula vera*—dwadzieścia kilka milionów dochodu! Jakkolwiek może się to zdawać ba-

jeźnem, proszę jednakże zauważyć, że to nie jest wcale bezprzykładną i niepodobną do prawdy rzeczą. Żyją tu ci państwo na taką skalę, że ta fortuna nie jest zbyt dużą. Niczego sobie i drugim nie odmawiają, i prawdziwie pokrólewsku przyjmują.

Bardzo więc naturalnie — że pan Mackay, a szczególnie pani — powiedziała sobie: „najpierwszy dziś malarz we Francji, jest Meissonier, a więc chcę mieć portret jego roboty“! — i stało się zadość życzeniu. Wprawdzie Meissonier, choć wielki malarz, nie jest to malarz portretów, a szczególnie portretów kobiecych — ale przecież można być pewnym, że wszystko cokolwiek wyjdzie spod jego pędzla, będzie posiadać wielką artystyczną wartość. Wypadło tu jednak, jak w bajce Krasickiego: „Piotr robił podobne, Jan piękniejsze twarze“; a że tak w bajce, jak na jawie, z kobietami — Jan zawsze wygrywa; a więc pani Mackayowa, choć nie jest to może jaka „Wenus grecka“, widząc przecież w zwierciadle zalety i wdzięki, których stary Meissonier przez okulary nie dopatrywał — nie była zupełnie zadowolona z portretu.

Portret ten, wielkości dobrej ówiartki arkusza papieru, miał swoje zalety i wady: zalety, że rysunek jego był nieposzlakowanej czystości, że suknia pani i wszelkie dodatki, były doskonałe; wady, że jak we wszystkich portretach tego mistrza, oblicze modelu wyglądało sucho i twardo.

Meissonier zgrzeszył przytem, że, nie pytając się państwa Mackayów, oddał ten portret na ostatnią wystawę publiczną. Tu więc przyjaciółki i kumoszki zazdrosne, jeśli nie wdzięczne, to bogactwa tej pani, znalazły pole do odwetu. A, ty się każesz Meissonierowi malować... poczekajże, wyjdzie ci to gardłem! Dalej — że każda przybiega z raportem: a jakie to niepodobne — a co za nos, co za gęba!... a to coś okropnego!... Tak, że przerażona i zdetonowana pani Mackayowa uwierzyła subtelnej krytyce kumoszek i przysłała do przekonania, że portret jej był i niepodobny i nawet szkaradny! Kiedy więc po skończonej wystawie artysta odesłał swe dzieło z dołączoną notą, pokazało się, że wartość tej cedułki zadziwiła nawet samego p. Mackaya, więcej, niż arcydzieło! 70,000 fr., to ładny grosz, nawet dla takiego milionera, jak amerykański Nabob!

Zaczęto się więc skarżyć na tak wysoką cenę, a na tak małe dzieło! — Pani zażądała poprawek co do nosa i gęby. Jakgdyby te poprawki były rzeczą możliwą w malarstwie! Śmiech bierze, ale cóż poczniesz z filistrami? Malarz, naturalnie, propozycję niedorzeczną odrzucił, a pani Mackayowa, zapłaciwszy pieniądze, portret — wrzuciła w ogień!

Ztąd gwałt i skweres. A to barbarzyństwo niesłychane! *Crimen lesae majestatis*... Spalić dzieło Meissoniera, nawet zapłaciwszy — tego nikt nie ma prawa! To są wierutni Wandale! i wszystkie dzienniki zaczęły wołać o pomstę w niebo głośno. Tylko-co nawet do pojedynku nie przyszło pomiędzy redaktorem głównym dziennika *Le Gaulois*, Mayerem, a Meissonierem. Ale ten ostatni, składając się wiekiem 75 lat, satysfakcji zbyt gorącemu Izraelicie, który wlaź w tę sprawę, jak Piłat w Credo — stanowczo odmówił.

A kiedy się nakoniec wykrzyczano i wypisano, pokazało się dopiero, że pani Mackayowa, choć zagniewana, przecie, jako Amerykanka praktyczna — znając wartość rzeczy i pieniędzy — portretu wcale nie spaliła? Miałem więc słuszność powiedzieć z Shakespeare'm: „Wiele hałasu o nic“.

Kronika działalności kobiecej.

— Konkurs Towarzystwa Czytelni Ludowych w Poznaniu nie przyznał żadnej z prac nadesłanych nagrody, ale wyróżnił w sposób zaszczytny trzy powieści, w liczbie których znajduje się powieść p. Wandy Podgórskiej: „Dwie Mazurki“. Powieść tę nabył na własność nakładca poznański

Dr Łebński, a po wyjściu dziełka z druku Towarzystwo zamierza dla biblioteki swojej zakupić znaczną część nakładu. Dwie pozostałe powieści odznaczone pochwałą i zalecone do druku: „Dwa gniazda“ i „Hetmańskie pachole“, zostałyby również w ten sposób przez Dra Łebńskiego nabyte, i następnie weszłyby do czytelni Towarzystwa, gdyby ich autorowie zechcieli się zgłosić i rozporządzić niemi. Przepuszczając, że pochodzą one ze stron naszych, bibliotekarz Towarzystwa, Dr Jerzykowski, prosi pisma warszawskie o powtórzenie tego, co zamieszczamy: — Adres Dra Łebńskiego, Poznań, ulica Podgórze, Nr 8.

— W dniu 5 Marca zmarła w Płocku wysoce przez swą poświęconą i długoletnią działalność zasłużona Siostra Miłosierdzia, Maryanna Romanowska. Urodzona 1795 roku w okolicach Białegostoku, we wsi Kamionka Tybory, córką zamożnych właścicieli ziemskich, obdarowaną wszystkimi łaskami losu, bo nawet wyższem, jak na owe czasy, wykształceniem umysłowem, ośmastoletnia została nagle Siostrą Miłosierdzia, wstąpiwszy do instytutu św. Kazimierza w Warszawie. Sprawił to r. 1812. Młoda dziewczica widziała strugi krwi płynącej, widziała tysiące rannych, tysiące umierających wojowników, i serce jej boleśnie rozdarło wśród doświadczeń owej strasznej chwili, zapragnęło poświęcić się na miłosierdną dla społeczeństwa swego służbę. W 1826 r. przybyła do Płocka jako przełożona tamtejszego zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, oraz zarządzająca w szpitalu Ś-ej Trójcy, i pozostała już tam do śmierci, spełniając chrześcijańskie te urzędy swoje przez lat 58. Owczesny szpital Ś-ej Trójcy mieścił się gdzieindziej, niż obecnie, w gmachu zajmowanym dziś przez gimnazjum żeńskie; w r. 1836 przeniesiony do nowego budynku, wzorowe swe pod względem rozmieszczenia urządzenie, jak pisze *Korrespondent Płocki*, zawdzięcza jej staraniom, inteligencji i wytrwałej energii. Ona również zajęła się założeniem przy nim pięknego ogrodu, który z rozkazu władzy wyższej przeszedł przed kilkoma laty na własność prywatną.

Miasto całe, zwłaszcza uboga, jego ludność, czciła zmarłą jak świętą i rzeczywiście była już świętą na ziemi, bo oprócz prac i ciężkich trudów swego powołania jeszcze pełniła cnotę miłosierdzia na swoją rękę, oddając całe osobiste swe mienie ubogim, wstydzącym się zebrać, sierotom, które los zostawił bez opieki. Wiek nie osłabił siły jej uczuć i serce pełne zawsze było najszlachetniej pojętej miłości ludzkości i społeczeństwa swego.

— Przy Zakładzie Przemysłowo-Rękodzielniczym hr. Cecylii Zyberg-Platerówny, otwartą została szkoła dwuklassowa, z klasą przygotowawczą, stojąca pod kierunkiem p. Walentyny Kobyłańskiej. Nauki wykładane w szkole są: — religia, język polski i rosyjski, arytmetyka, geografia, kalligrafia i rysunki techniczne; prócz tego uczennice będą pobierać naukę robót ręcznych: szycia białego, oraz cerowania i sporządzania, robót drutowych i szydełkowych, znaczenia bielizny krzyżkami i haftem białym. Opłata miesięczna od uczennic przychodzi rs. 3.

Kursa specjalne zakładu uczą: kroju i szycia bielizny, kroju i szycia sukien, szewstwa damskiego i dzieciennego, koronkarstwa i haftu kolorowego. Wszelkie bliższe informacje powziąć można w Zakładzie (Ul. Piękna Nr 14) od godziny 9 rano do 3 popołudniu.

— Król włoski za pośrednictwem Akademii Mickiewicza udzielił z prywatnej swej skatuli 1,000 franków zapomogi na rzecz kursu języka polskiego i innych słowiańskich, wykładanych w Uniwersytecie Bolońskim przez Malwinę Ogonowską.

— Lista matrykulacyjna Uniwersytetu Londyńskiego na semestr zimowy wymienia trzydziści trzy studentek. Z tych jedna miss Rayson, złożyła examen ze szczególnym odznaczeniem, mieszcząc się na takzwanym liście honorowej; liczba ogólna osób zapisanych na liście honorowej, jest 48, ale miss Rayson dzieli z jednym tylko studentem Samuelem Moses, miejsce naczelnie: „najpierwszych“. Przytem trzeba dodać, że liczba mężczyzn przystępujących do egzaminów, była 397. W dalszym ciągu 29 kobiet mieści się na

liście examinów pierwszej klasy, a dwie tylko przypada na klasę drugą.

— Uniwersytet Oxfordzki przy bardzo silnej większości głosów senatu uniwersyteckiego otworzył kobietom przystęp do auli swoich, z pewną małą różnicą w examinach, a to, aby kobiety nie mogły się mieścić na liście honorowej, dającej pierwszeństwo przy otrzymywaniu stypendyów. Zastrzeżenie to utrzymało się większością kilku tylko głosów i zapewne w bardzo krótkim czasie usuniętem zostanie. Przy rozprawach nad przedmiotem wykazywano, że nie potrzeba się lękać nigdy zbyt wielkiej, z mężczyzną o lepsze idącej, liczby kobiet studentek, biorąc jako przykład Szwajcaryą, i zwykle najliczniej uczęszczany przez kobiety wydział lekarski jej uniwersytetów. W Zurychu znajduje się w wspomnianym wydziale 18+ mężczyzn, 33 kobiet; w Bernie 127 mężczyzn, 28 kobiet; w Genewie 84 mężczyzn 7 kobiet; co znaczy prawie jedna studentka na sześciu studentów, a rzecz jeszcze się wyraźniej zarysowuje przez szczegóły, że na 68 kobiet studujących w Szwajcaryi, 65 pochodzi z jednego kraju — z Rosyji. Zatem na wszystkich inne narodowości przypada 3. Należy jednak tu dodać, że inaczej nieco przedstawia się liczba kobiet na wydziałach innych. Obecnie zaznaczająca się większość kobiet studuje na wydziałach historyczno-filozoficznych, co dobrze wróży o skierowaniu wyższego wykształcenia kobiety i jest rzeczą pocieszającą ze względu na nauczycielską działalność kobiety. Tu liczby, dzielące studentki na narodowości, przedstawiają się w stosunku odwrotnym. W Zurychu studuje obecnie 14 kobiet na wydziale historyczno-filozoficznym, 1 na prawnym.

— Dwie artystyczne wystawy kobiece miały obecnie miejsce. Malarki i rzeźbiarki niemieckie urządziły w gmachu *Kunst-Akademie* dziewiątą już z kolei wystawę dzieł swoich, szcycąc się inicjatywą w tym kierunku i najstarszem w Europie stowarzyszeniem artystek w sztukach plastycznych. Jużto niemiecki zmysł samopomocy, działający przez zbiorową siłę stowarzyszeń, jest rzeczywiście wielkim i w każdym kierunku korzystnie się zaznacza. Francuzki, związane też w związek: *Union de femmes peintres et sculpteurs*, otworzyły w d. 2 Marca w pawilonie Pałacu Elizejskiego wystawę trzecią z kolei, liczącą poważną cyfrę 233 okazów i odznaczającą się kilku wyższymi talentami. Kobiety francuskie oddawna miały prawo wystawiania dzieł swoich na ogólnych wystawach krajowych i korzystały z niego zwykle z powodzeniem. Szkoła rysunku w zastosowaniu do rzemiosł była najpierw daną Francuzkom, co wpłynęło znakomicie na doskonałość wyrobów kobiecych w przemyśle artystyczno-rzemieślniczym.

— W poprzedzającej Kronice znajdują się pewne niedokładności, które sprostować należy: Dr Teresa Ciszewicz, nie „Cieszkiewicz“, kształciła się w Rydze tylko w naukach pomocniczych do następnego studyowania medycyny; examen, dający jej prawo praktykowania u nas, składała przed specjalną komisją examacyjną Petersburskiej Akademii Medycznej.

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań, w Marcu 1884 r.

Bieżący miesiąc zwykł gromadzić w murach naszej stolicy najzdrowsze społeczeństwa poznańskiego żywoły: przybywają zowsząd obywatele znani z pracy i zasługi — młodzież, ochotnie wstępująca w ich ślady — duchowieństwo, zawsze czynne tam, gdzie idzie o dobro ogółu, — włościanie oświata, porządkiem w pracy i troską społeczną zrównani ze starszymi braćmi. Toczają się narady, wyjaśniają kwestye sporne, odczytują roczne sprawozdania układają programmata dalszej pracy i zabiegów. Z kolei wszystkie istniejące u nas towarzystwa, odbywały teraz swe doroczne walne zebrania i we wszystkich uderzało

nowe ożywienie, skutkiem udziału młodzieży, która coraz ochotniej i umiejętniej garnie się do pracy i służby publicznej.

Rozpoczęli obrady członkowie towarzystwa agronomicznego, a referat całoroczny p. Joachima Jarochońskiego w dość smutnych kolorach malował bieżące stosunki rolniczo-gospodarcze. Konkurencja zboża z Cesarstwa Rosyjskiego, z Węgier, ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, a teraz nawet już i z Indyi, anormalnie obniża cenę naszych produktów; złote żniwo, jakie sobie obiecywano z kultury buraków i licznie powstających cukrowni, także w części zawodzi, skutkiem zmniejszonego spożycia cukru w Niemczech; emigracja do Ameryki oraz wędrowki na Północ i Zachód za robotą, wyludniają wsie nasze i sioła; nieprzyjazne żywioły już poraz drugi utrudniają żniwa. Słowem, byłoby bardzo źle i smutno, gdyby z drugiej strony nie krzepił nas widok rosnącej i rozwijającej się zapobiegliwości i pracy u naszych rolników, a gdyby przez to prąd wywłaszczania polskich właścicieli nie był wstrzymywany przez nich samych, umiejętną pieczę nad powierzonym sobie zagonem. Obrady Towarzystwa Rolniczego trwały przez dwa dni, tak w wydziałach, jak w zebraniach ogólnych; z pewną tylko obawą przychodziło nam wsłuchiwać się w nowe teorie postępowych gospodarzy, tak kosztowne w zastosowaniu, że wśród wielu zbytów ten może należeć do rzędu najniebezpieczniejszych. Tu zaś broniono z zapalem i popierano dowodami systemata znacznych nakładów, polecano usilnie plugi parowe, których cena równa się wartości sporego folwarku, zapewniano, iż bez kartoflerek żniwo ziemniaków jest niemożliwym, a bez separatorów gospodarstwo mleczne ostać się więcej nie może. Czy te wszystkie teoretyczne wskazówki nie staną się w praktycznym zastosowaniu nowym szkorpulem, o który się niejedyn raz rozbije majątek? Mimowoli strach nas ogarniał wobec tego gruntownego przeinaczenia dotychczasowej metody, bo to już nie postępowość, ale raczej zupełna rewolucja w rolnictwie. Patron Kółek Włościańskich, p. Maksymilian Jackowski, zdawał sprawę z rozległej działalności stowarzyszenia, które jemu zawdzięcza początek swój i kierunek. Kółek istnieje 141; wśród nich bywają niektóre wyłącznie przez włościan prowadzone, większa atoli część opiera się na dworach i plebanjach sąsiednich. Wpływ kółek widocznym się staje w podniesieniu rolnictwa na małej własności, w rosnącej oświacie ludu, oraz w rozwoju przemysłu domowego, który jest obecnie przedmiotem szczególnej pieczy i troskliwości klas wyższych i przewodnich.

Podczas walnego zebrania delegatów i prezesów kółek włościańskich, które około tysiąca uczestników zgromadziło w obszernej sali Lamberta, podziwiano okazy płócien i tkanin wieśniaczek zpod Czarnkowa i opowiadano o skrętności niejakej Teresy Waśko; dzielna ta dziewczyna własnoręcznie w przeciągu jednej zimy utkała przeszło trzysta łokci wełnianej materyi, choć pracowała tylko dorywkami, w wolnych chwilach od zajęć gospodarskich, w których bratu pomagała. W tejsamej okolicy niedawno odbyła się wystawa włościańska, na którą nawet ośmioletnie dzieci przysłały wcale udatne próbki swych robót. Wogóle przemysł domowy stoi u nas na dość wysokiej stopie, a wełnianki czyli tak zwane *pstruchy* kórnickie, o żywych barwach i nie zdarzającej tkance, zdobyły sobie już i za granicami Księstwa sławę niedorównanej materyi na pokrycie mebli. Miłośnicy i dobrodziejcy naszego ludu dokładają wszelkich starań, aby rzeczony przemysł zachęcać i rozwijać, a mianowicie hr. Zamoyska z Kórnicka prawdziwie już w tym względzie położyła zasługi.

Towarzystwo czytelni ludowych wykazało liczbami swą działalność z roku przeszłego i trzech lat ostatnich. Już 80 tysięcy książek za jego pośrednictwem rozeszło się wśród ludu naszego; założono około 400 biblioteczek wiejskich, tudzież blisko sto wypożyczalni miejskich. Instytucja ta liczy przeszło 100 członków i rozwija się dość pomysłnie. Ale to dopiero początki: oby wytrwałością i wpływem dorównała kiedyś temu wspania-

łemu Towarzystwu Naukowej Pomocy, które za sześć lat już półwiekowy świętć będzie jubileusz! Żadne dzieło tak pięknie nie świadczy o dobrej woli i ofiarności naszych ziemian, jak to stowarzyszenie ułatwiające ubogiej młodzieży nabywanie wiedzy i kształcenia się do użytecznych i wpływowych zawodów. Zrodzona w wielkiem sercu Dra Karola Marcinkowskiego myśl dobroczynna zakorzeniła się w sercach jego współpracowników, przelała się spadkiem szlachetnym w dusze następnych pokoleń. Sprawozdanie dyrekcyi z ubiegłego roku dowiodło raz więcej, jak dalece to stowarzyszenie drogą jest naszemu społeczeństwu. Przed kilku miesiącami dyrekcyja zdradziła się z pewnem zakłopotaniem; składki zwyczajne nieco opieszale wpływały, rozchód był znaczny, a dochód mu nie dorównywał. W mgnieniu oka rozeszła się wiadomość o chwilowem zatroskaniu się dyrekcyi; przesadzono sobie jego doniosłość, co wyszło ostatecznie na korzyść instytucyi. Tak obfite bowiem posypały się datki nadzwyczajne, tak ściśle wpływały zaczęły zwyczajne składki, iż kassa stanęła na niebywałym punkcie ustalonego powodzenia. Z radością przeglądaliśmy ostatnie sprawozdanie, a mianowicie rubrykę owych ofiar nadzwyczajnych, które i wielkością swą na to miano zasługują. Tu hr. Józef Mielżyński składa, nie w swoim imieniu przeszło 16,000 marek; tam osoba nie chcąc być wymienioną oddaje ich 15,000. Darów na 6,000, 3,000, 1,500 marek nie braknie. Przedują w tej ofiarności kapłani; wzbogacają bogactwami i pojedynczymi datkami fundusze towarzystwa.

Odwdzięczając się za tę hojność niewyczerpaną duchowieństwa, Towarzystwo Naukowej chętnie udziela wsparcia kształcącym się zagranicą teologom. W ostatnim roku było ich 25-ciu; największa atoli liczba stypendystów zawsze przypada na medycynę. Niezależność tego zawodu nęci ku niemu młodzież, zniechęconą trudnościami, jakie na innych drogach spotyka. Było więc przyszłych lekarzy 38, na ogólną liczbę stu młodzieńców, wspieranych w ostatnim roku, przez Pomoc Naukową; aptekarzy 9; połowa zatem ogólnej liczby przypada na rzecz połączonej sztuki lekarskiej. Dyrekcyja radaby wstrzymać ten prąd wyłącznie w jednym kierunku idący, z obawy, aby nie zabrakło chorych, to jest leczących się, a więc i chleba, tej przechodzącej nasze potrzeby liczbie doktorów. Tyle pewnego, że granice Księstwa już są zaciasne dla naszych lekarzy, których w samym Poznaniu ma być przeszło sześćdziesięciu.

(Dokończenie nastąpi)

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Żwierzęta świecące.

Do najbardziej efektownych zjawisk świata zwierzęcego, należy bezwątpienia fosforescencja, czyli samoświecenie zwierząt. Któż nie podziwiał robaczka świętojańskiego, kto z największą uwagą i jakimś mistyczno-poetycznym usposobieniem nie śledził ruchów tych żywych iskierek mdławego światła, poruszających się, jakby jakieś istoty zaczarowane ze świata Balladyny, wśród zielonych zarośli, atmosferą pięknej nocy letniej oblanych? Każdy je zna i każdy na swój sposób interesuje się niemi. Lecz gdy prostak staje w obec nich z wyrazem niemej tylko zadumy lub przesądnych domniemań, gdy marzyciel snuje nie czarownej tkanki, która mu do odmalowania pojętne obrazu ze świata poezyi na tle rzewnej tęsknoty lub brylantowej fantazyi posłuży; — „zimny“ przyrodnik, czuły tak jak i inni i na czary poezyi i na ponety wspomnień, przenosi się z robaczkiem do innej sfery, do sfery myśli ścisłej i badania. Położywszy sobie za zadanie tylko zbadanie prawdy, dochodzi środkami niepoetycznymi i rażąciami nieraz poe'tę, do wniosków tak wspaniałych, że znów za sprawą wie-szczów takiej miary, jak Goethe lub Mickiewicz,

„kochanka słońca“ zyskuje w tych zdobyczach myśli precudną tkanę, którą spowija zgnękanie umysły swych wybrańców i otacza je osłoną promiennych idei i dążeń tak żywą, że może iść o lepsze z ową słoneczną atmosferą wschodnich uniesień, na których skrzydłach Indianin lub Arab wznosi się w świetlaną krainę wiecznej młodości, gdzie tętnią krynice boskich barw i światel wszechpotężnej siły i niezamąconej nadziei.

Lecz zostawmy wieszczom tę sferę, choć do granic jej doprowadziło nas wspomnienie o robaczku, uwijającym się wśród naszych jaśminów, wiciokrzewów i berberysów. Nie przystępujmy też w tej chwili i do tej sfery szerokich wywodów, której echo doleciało nas na myśl o wspaniałych wynikach teorii, do których śladem istot świecących, doszli dwaj nasi badacze Radziszewski i Nencki. Uchylimy później choćby trochę zasłony, dla spojżenia w te dalekie widnokręgi, lecz dzisiaj puścimy się tylko drogą faktów zwyczajnych, najprostszych, dających się jaknajprzystępniej opisać.

A więc najpierw o naszym świętojańskim robaczku. Nie jest on wyłącznie *naszym*, bo zna go świat cały. Jest to najbardziej rozpowszechnione ze zwierząt świecących. Nazwa jego pochodzi ztąd, że najczęściej widzieć go można około S-go Jana. Nie jest ona właściwą, gdyż i w innych porach obficie je napotykamy. Pojedynczo można je widzieć aż do Października. Nadto samo określenie „robaczek“, wcale nieodpowiednio zostało zastosowane do tego zwierzątka. Jest to nie robak lecz owad, z rodziny chrząszczów miękkoskórych. Pomieszaniu tych pojęć, dały zapewne powód dwie okoliczności. Przedewszystkiem lud prosty ma inne pojęcie o robaczkach, aniżeli ci, co uczyli się zoologii; a powtóre, samica tego owadu jest bezskrzydła, podobną napozór do gąsienicy, a więc i do robaczka. I samiec i samica świecą zarówno.

W Europie mamy dwa gatunki świętojańskich robaczek: jeden większy, drugi mniejszy. Ostatni jest pospolitszym i świeci silniej.

Jakkolwiek blask świetlików naszych jest znaczny, jednakże świętojański robaczek musi ustąpić pierwszeństwa fosforyzującym owadom nowego świata. W Ameryce środkowej i południowej żyje aż sto gatunków chrząszczów świecących, należących do rodziny, której przedstawicielem jest u nas wysmukły „sprężyk“, tak nazwany z powodu własności podrzucania się w górę, gdy go ktoś grzbietową stroną na stole położy. O jego błyszczących krewniakach amerykańskich bardzo dużo opowiadano, a jeszcze więcej wymyślono. I tak naprzykład wieść niesie, iż gdy onego czasu Hiszpanie szli na wyprawę przeciwko Meksykowi, wpa.li pewnego razu w wielki przestrasz, sądząc, że niebacznie zbliżyli się aż pod ogień obozu nieprzyjaciół. Tymczasem to, co wzięli za ogień obozowe, było tylko niewinnem światłem mnóstwa sprężyków. Jeszcze gorsza przygoda miała spotkać Anglików, gdy pierwszy raz wysiedli na brzegi Indyi Zachodnich. Mieli oni uciec haniebnie przed owadami świecącymi w mniemaniu, że to Hiszpanie z pochodniami nadciągają. *Si non e vero e ben trovato*, — bo choć nie jesteśmy skłonni do wiary, aby sprężykom udało się nastraszyć zdobywców Ameryki; jednakże bądźco bądź, w opowieści tej tyle jest prawdy, iż rzeczywiście niektóre sprężyki amerykańskie rozczarują wcale efektowne światło. Jeden z nich, zwany Cucujo (*Pyrophorus noctilucus* — co popołu dosłownie przetłómaczywszy znaczyłoby: owad ognisty, świecący w nocy), ma dawać tyle światła, że przy jego blasku można łatwo czytać druk, nawet drobny. Trzymając go w palcach nad książką, oświecamy sobie pole, mające dwa cale kwadratowe powierzchni; przesuważąc więc tę żywą świeczkę ponad wierszami, możemy czytać. Korzystając z tego podroźni, gdy w nocy chcą zobaczyć na zegarku która godzina, a damy południowo-amerykańskie zastosowały te świetliki do strojów, i uwięziwszy je w tiulu przypinają do sukien i włósów. Nauczyły się tego widocznie od prostych cór natury, od Indianek zachodnich, które bez tytułu wprost sobie te żywe brylanty we włosy wpinają.

I mężczyźni nie gardzą tą ozdobą. I tak, jeden

z dostojników kolumbijskich, człowiek rasy europejskiej, wystąpił pewnego razu wieczorem w ogrodzie publicznym, w kapeluszu Panama, ozdobionym wielkimi chrząszczem świecącym i sznurkiem złożonym z mniejszych chrząszczyków. Jedno z pism amerykańskich twierdzi, iż dostojnik ten tak się kocha w owadach świecących, że trzyma w swym pałacu miliony okazów, zamknięte w klatkach z drutu srebrnego.

Światło rozlewane przez to zwierzątko, jest tem przyjemniejsze, że promienieje wielu mieniącami się barwami, a głównie czerwoną, złotawą i zielonawą. Według opowiadania podróżników, przebijanie się tych ruchomych i mieniących się światełek z cienia podzwrotnikowej vegetacji, stanowi coś tak wspaniałego, że nasze sztuczne iluminacje są wobec tej naturalnej tylko jakimiś wielce niedolęznymi próbami.

Świecące owady zwrótnikowe odróżniają się od naszych siedliskiem źródła światła. U naszych zwyczajnych robaczek świętojańskich punkta świetlne znajdują się na spodniej stronie ciała, przy końcu odwłoka; u sprężyków zaś światło bije z dwóch woskowo-żółtych plamek, mieszczących się na stronie grzbietowej, na tylnych brzegach tarczy głowy. Dawniej brano mylnie te plamy za oczy. Dwie drugie takiesame plamy znajdują się pod pokrywami skrzydłowemi i można je widzieć tylko podczas lotu owadu. Substancja świecąca składa się z oleistego tłuszczu ziarnistego, poprzerznanego dychawkami, to jest rurkami, przez które przepływa powietrze. Z wejrzenia massa ta podobna jest do fosforu. W następnym artykule, w którym mówić będziemy o teorii prof. Radziszewskiego, czytelnik znajdzie bliższe szczegóły o przyczynach świecenia tej massy.

Przypisują też światło własne wielu innym chrząszczom. Ale wieści te polegają często na błędach rozpowszechnionych przez niesumiennych podróżników. I tak, długo uchodziły za świecące owady z rodzaju Fulgora; tymczasem ostatecznie przekonano się, iż jakkolwiek niektóre posiadają plamy podobne do opisanych, jednakże żaden z nich nie świeci.

Nietylko owady posiadają własność fosforescencji. Świeci też mnóstwo innych zwierząt, a pomiędzy nimi pewne raczki, wije (skolopendra) a nawet i ryby. I tak ekspedycja „Challenger“ wydobyla z wielkich głębokości oceanu ryby zupełnie ślepe, ale za to obdarzone wielkimi świecącymi organami, jakby dla przyswiecania w tych ciemnych głębiach innym rybom, niepozbowionym wzroku. Inni przypisują fosforescencyą „rybie księżycowej“ (*Orthogoriscus mola*) ale wiadomość ta nie jest pewną, i wielu obserwatorów jej przeczy. Dalej John Richardson opowiada, iż ryba *Scopelus resplendens* posiada na głowie organ świecący, a Usow i Leydig twierdzą też samo o innych rybach. Nawet, jeśli wierzyć Bennetowi, pewien gatunek rekina (*squalus fulgens*) daje światło tak silne, że można przy niem doskonale odczytywać cyfry na tarczy zegarka. Cała jego powierzchnia ma świecić, szczególnie wtedy, gdy się rzuca w bassenie. Exemplarz obserwowany przez Benneta miał świecić jeszcze godzinę po śmierci. Więc i rekin nawet ma swą stronę przyjemną i pożyteczną.

Fosforescencyą miano nawet obserwować u zwierząt kręgowych bardzo wysoko postawionych na skali zoologicznej, u małp. Remiger twierdzi w swej „Historji Paragwaju“, że widział bijące z oczu małpy *Nyctypithecus* światło tak silne, że oświecało przedmioty w odległości 1½ stopy. Nie jest to niemożliwym, ale nic w tem jeszcze nie ma pewnego. Wogóle pod względem fosforescencji zwierzęta bardzo mało dotąd badano.

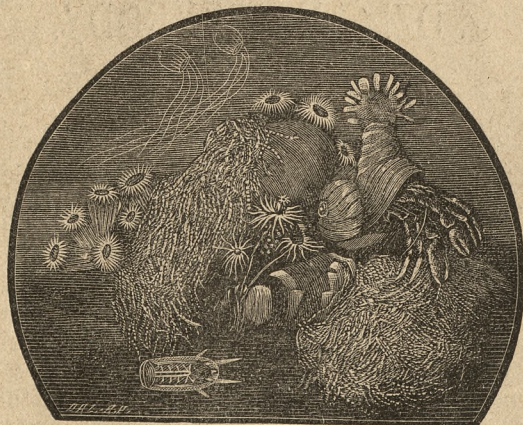
Najwięcej istot świecących posiada morze. Wiadomości o nich są tak powszechne i tak pewne, jak o owadach świecących. Szczególniej fosforescencya jest rozpowszechnioną w dziale istot

niższej organizacyi, w dziale korzenionózek, polipów i t. d. Każdy słyszał o owem „świeceniu morza“, kiedy woda przybiera blask jakby roztopionego srebra i krople ściekające z wiosła, świecą jakby gwiazdki spadające. Przyczyną tego swiała są istoty najdrobniejsze, widzialne tylko pod mikroskopem. Należą one do rzędu korzenionózek, a jak inni powiadają, do meduz. Jest ich tak obrzymia ilość w wodzie morskiej, że według obliczenia Scoresby 8.000 ludzi rachujących przez 6.000 lat nie zdołaloby dotąd obli-



Cucujo (*Pyrophorus noctilucus*).

czyć ilości okazów jednego gatunku, znajdujących się w jednej sześcienniej mili wody morskiej. Szczególniej wierzchołki fal, bruzda poza łodzią płynącą i miejsca rozcinane przez wiosła, lśnią się od tych istot. Woda naczepiana w naczynie, lśni się również na krawędziach fal za każdym poruszeniem naczynia, a przefiltrowana przez gęste płótno, zostawia na niem powłoczkę fosforującą. Zwierzęta nadające ten blask wodzie, nie są przywiązane do jakichś szczególnych miejscowości tak, iż morze świecące obserwowano i



Żwierzątka świecące.

w strefie umiarkowanej a nawet zimnej; największy jednak blask rozciągają wody zwrótnikowe. Specjalnych miejsc fosforycznych istoty te nie posiadają; całe ich ciało fosforyzuje.

Drobnutkie atomy światła żywego mogą wydawać blask tylko wtedy, gdy się skupi w wielką gromadę wielka ich ilość. Jak cząsteczki wody razem złożone, tworzą jezioro czy morze,—tak też i te świetlne punkciki stanowią niejako jednostajny płyn świetlny. Pojedynczo wzięte, nikną dla naszego oka. Silniejsze, wyosobione objawy fosforescencji morza pochodzą od istot większych, widzialnych dla naszego oka. I takich mnóstwo kryją w sobie oceany. Znamy wiele świecących polipów z rodzaju piórek morskich i gorgonii, pewne gwiazdy morskie i morskie sasanki. Niektóre świecące zwierzęta mają prawdziwie kolosalne rozmiary. Nantucket i Agassiz piszą, że niektóre z nich dochodzą takiej wielkości, iż średnica ich mierzy się stopami, a ramiona dosięgają 10 i 200 stóp. Nie należą one jednak do najświetniejszych.

Prawdziwą królową wśród zwierząt samoswiecących, jest oponnica (mięczak bezgłowy z błoniastą oponą) zwana *Pyrosoma gigas*. Długość jej wynosi około 10 cali. Przedstawia się w postaci walca a raczej rurki, która nie jest właściwie jednym zwierzęciem, lecz kolonią zwierząt. Do rurki przyczepione są małe kosmyki, w ten sposób, mniej więcej jak ziarna do kłosa, a kosmyki te właśnie są pojedynczymi zwierzętami. Gdyby *Pyrosoma* nie była wielokrotnie przez najwiarogodniejszych badaczy obserwowana,—to opowiadania o jej blasku możnaby zaliczyć do rzędu bajek. Niektórzy porywnywały te zwierzęta z rozżarzonemi walcami żelaznemi. Humboldt rozpoznawał przy ich świetle delfiny i ryby. Ribera pisał o pyrosomie przy świetle przez nią samą rzucanem. Światło to mieni się barwami: zieloną, niebieską, żółtą i czerwoną; niektórzy powiadają, iż zasmiewa blask gwiazd i daje morzu wygląd roztopionej lawy. Jeden z pisarzy amerykańskich, powiada, iż gdy pewnego razu podczas prześlicznej nocy pewne towarzystwo używało przy brzegach Florydy przejażdżki po morzu, zabłysło nagle światło na jednej z łodzi odalonej o 100 metrów od innych. Pochodziło ono od pyrosomy, którą schwyciła rękami i uniosła w górę jedna z panien. Miało ono być tak jasnym, że w tej odległości doskonale można było odróżnić rysy twarzy owej panienki.

Fosforescencya nie jest wyłączną właściwością zwierząt; świecą też i rośliny. Szczególniej zauważono wiele takich przykładów pomiędzy grzybami. Niektórzy podają, że liany lśnią się jak fosfor w miejscach naciętych. Powszechnie też znanem jest światło gnijącego drzewa. Mnogość więc tych faktów, w tak dalekich od siebie zakresach występujących, naprowadza na myśl, że świecenie podobne, nie jest bynajmniej zjawiskiem wyjątkowym, i że polega na jakiejś ogólniejszej, wspólnej tym wszystkim istotom i spowinowacanej z innemi zjawiskami podstawie. Z artykułu, któryśmy powyżej zapowiedzieli, przekonamy się że tak jest w istocie. *Br. R.*

Tom II dzieła pod tytułem:

ROZRYWKI

DLA MŁODOCIANEGO WIEKU

przez Sew, Pruszkową

Wyszedł z druku

Cena dla prenumeratorów „Bluszczu“

w Warszawie kop. 50; z przesyłką kop. 60.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 6-ty i 7-my tomu III-go powieści pod tyt.: **Widmo szczęścia.**

TREŚĆ. Henryk Sienkiewicz, rys biograficzny, przez St. Krzemińskiego.—Etyczne stanowisko kobiety w poezji naszej, przez M. Ilnicką.—Któs, powieść, (dalszy ciąg) przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej.—Korrespondencya zagraniczna, Poznań. — Z działa przyrody, przez Br. R.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 21 Марта 1884 года.